

Wierność i zdrada

8 września 2013

W przeddzień wprowadzenia stanu wojennego, w Zarządzie Regionu fotografowaliśmy z Romanem Labą (Amerykanin, wykładowca socjologii) moją książkę o Grudniu '70, a ściślej tę część, którą udało mi się napisać. Przeczytał ją tego dnia u mnie w domu, a dowiedziawszy się, że nie mam kopii, zawiózł mnie do Gdańska i właśnie to nadrabialiśmy. Był wieczór, w budynku ledwie kilka osób, fotografowanie trwało długo i Roman powiedział, przedrzeżniając ówczesne doniesienia prasowe: „Do ostatniej chwili w gdańskim Zarządzie Regionu knuli amerykański szpieg i solidarnościowa ekstremistka”. Potem, już w kryminale, zastanawiałam się, dlaczego mnie to wtedy rozśmieszyło. Pewnie z tej samej przyczyny, dla której śmialiśmy się z piosenki „Wejdą, nie wejdą”. Żyliśmy na wulkanie, mieliśmy tego świadomość, a mimo to byliśmy szczęśliwi. I dumni, bo znaleźliśmy sposób przeciwstawienia się wrogowi, bez strzałów i zabijania. Mnie się wtedy wydawało, że wystarczy ujawnić prawdę, a nawrócą się nawet ludzie wysługujący się Kremlowi.

Gdzieś w połowie roku 1981 zwróciłam się do Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Gdańsku o dostęp do ich materiałów archiwalnych z grudnia 1970 roku. Sformułowałam pismo, podpisał je kierownik naszego zespołu Janusz Krupski i poszłam na Okopową. Człowiek w dyżurce na dźwięk słowa „Solidarność” natychmiast chwycił słuchawkę, zadzwonił wyżej, przybiegł jakiś inny facet, obejrzał mnie, a ja z uciechą przyglądałam się zamieszaniu, jakie to słowo wywołało. Facet, który mnie oglądał, wrócił i zaprowadził do pani major (chciałam rozmawiać z komendantem, ale powiedziano, że to niemożliwe). Pani major twarz miała ściągniętą, była zimna i oficjalna. Podałam jej pismo – przeczytała i powiedziała z rozluźnioną twarzą: jakie ładne pismo. Zbaraniałam. Było najzwyczajniejsze, zwykła prośba o dostęp do archiwum. Pani

major opowiedziała mi, że mają własną kronikę z tamtego okresu, że wiele milicyjnych rodzin wtedy ucierpiało – wyraziłam chęć zapoznania się z tymi materiałami, ona na to, że musi przedyskutować z szefem itd. Była to już normalna rozmowa i w jej trakcie zrozumiałam, że milicjantka tak była nasączona propagandą o krwiożerczym stosunku „Solidarności” do MO, że w piśmie szukała obelg i kategorycznych żądań, dlatego tak ją zdziwiło zawarte w nim słowo „proszę”. Do następnego spotkania nie doszło, nie było też odpowiedzi w sprawie archiwum.

Gdy przy innej okazji rozmawiałam o Grudniu '70 z pewnym esbekiem, powiedział, że nasze domaganie się prawdy to zwykła obłuda, bo gdybyśmy naprawdę jej chcieli, napisalibyśmy, że zginęło wtedy wielu milicjantów. – Dlaczego nikogo z nich nie ma na tablicy przy pomniku? – spytał z goryczą. – Owszem, jest – odpowiedziałam – Marian Zamroczyński, zomowiec, wasi szefowie twierdzą, że więcej ofiar wśród milicjantów nie było. – No nie wiem – mruknął, a ja czując, że zachwiała się w nim wiara w prawdomówność szefów spytałam, z jakiej to racji na tablicy poświęconej poległym stoczniovcóm miałyby być milicjant? On jednak nie podjął tego tematu.

Właśnie takie rozmowy, a było ich mnóstwo, kazały mi uwierzyć, że wystarczy ujawnić prawdę, a system sam się rozleci. Potwierdzała to także walka tocząca się na łamach gazet, z której jasno wynikało, jak bardzo komuniści boją się jej ujawnienia. I to nie jakichś tam przestępstw gospodarczych popełnianych przez wysoko stojących funkcjonariuszy państwowych, tylko prawdy o tym, że wszyscy oni są na usługach Kremla. Czy ten oczywisty fakt był dla kogoś w Polsce tajemnicą? Ani trochę, ale panujący strach kazał udawać, że jest inaczej, skupiać się na istniejących drobnych elementach suwerenności, traktować rządzących tak, jakby reprezentowali naród. Ten strach powodował np., że unikano rozmów o Katyniu. Gdy przed Sierpniem rozmawiałam z ludźmi na ten temat, mówili, że to chyba jednak zrobili Niemcy, zresztą no cóż, takie

rzeczy się na świecie zdarzają, wojna to wojna. Po Sierpniu ci sami ludzie doskonale wiedzieli, kto popełnił ten mord i głośno domagali się sprawiedliwości. Wokół zbierała burza, z Kremla dochodziły grzmoty, a my czuliśmy rozpierającą serca radość wolności. I takiej wspólnoty, że dzielenie się jedzeniem, a nawet pieniędzmi, było rzeczą oczywistą.

Stało się wtedy coś jeszcze ważniejszego. W przeddzień stanu wojennego przyjechał do mnie z Nysy pewien mężczyzna, by z powodu zbliżającej się rocznicy Grudnia '70 zrobić artykuł do tamtejszej gazetki. Reprezentował tzw. ruch poziomy wewnątrz PZPR i chciał towarzyszom przybliżyć to, co się na Wybrzeżu wtedy działo. Spytałam, czy się nie boi tak jawnie występować przeciw partyjnemu betonowi. Odpowiedział, że się boi, ale ojciec był w AK, a on ma kilkuletniego syna i gdy zapyta go po latach: a gdzieś ty wtedy był, tato – nie będzie się wstydził odpowiedzi. W ciągu paru miesięcy stracił znaczenie wykręt tak świetnie podchwycony przez Mariana Załuckiego: „Mówią, że Pałac Kultury to szpeci, a ja nie, mnie się podoba, ja mam żonę i dzieci”. Wróciło poczucie honoru i odpowiedzialności.

Ów młody mężczyzna tłukł się pociągami kilkanaście godzin tylko po to, by napisać prawdę, bo – jak wyjaśnił – faceci, którzy w 1970 r. byli w wojsku, opowiadają jakieś bzdury. Wiem, co mogli opowiadać. Pracownik gdyńskiej stoczni, Adam Gotner, w grudniu 1970 r. trafiony został serią sześciu kul. Wieziony do szpitala odzyskał przytomność w momencie, gdy drzwi nyski, w której leżał z innymi rannymi, otworzył wymachujący pistoletem i ryczący coś po niemiecku podporucznik. Adam przeżył cudem (oraz dzięki wspaniałej postawie i umiejętnościom gdyńskich lekarzy), ale choć minęło 35 lat, przeżycie to jest dla niego nadal najsilniejsze. Nie to, że żołnierze do niego strzelali, był wtedy świeżo po wojsku i nawet ich w pewien sposób rozumiał, tylko to, że podporucznik ryczał po niemiecku. Jak silna musiała być w wojsku propaganda, skoro ten żołnierz uwierzył, że jedzie na Wybrzeże stłumić bunt podniesiony przez niemieckich

autochtonów wspieranych przez CIA. To od wtedy zastanawiam się nad Wojciechem Jaruzelskim, który w 1970 r. był ministrem obrony narodowej, a wcześniej przez kilka lat naczelnym politrukiem. Bo w tej postaci skupiają się wszystkie komunistyczne kłamstwa.

Prawda jest prosta, nie wymaga objaśnień ani interpretacji. Każdy wie, że obowiązkiem żołnierza jest obrona ojczyzny i że należy mu się za to szacunek. Zapisane to jest nawet w naszym języku: ten, kto służy tylko za żołd, nazywany jest pogardliwie żołdakiem. Żołnierz musi być wierny – dlatego dezercja jest surowo karana, a jeśli przeszedł na stronę wroga, jest zdrajcą, renegatem. To są oczywistości zrozumiałe nawet dla tępaków. Jaruzelski przeszedł na stronę wroga, z nadania wroga został dowódcą polskich żołnierzy i wpajał im obowiązek służenia obcemu państwu gnębiącemu ich ojczyznę. Mimo to wielu ludzi uważa go za polskiego oficera.

Oficer to w polskiej tradycji osoba godna uznania, reprezentująca polskie poczucie honoru. „Bóg mi powierzył honor Polaków i Jemu go tylko oddam” – wołał książę Józef Poniatowski skacząc do Elstery. „Wiemy, że sporo z nas zginie – lecz cóż z tego – nie ma po co żyć, jeśli nie ma Tej – dla Niej robimy wszystko, nie dla sławy, tylu a tylu zestrzeleń, nie dla Francuzów czy dla Anglików, ale dla Niej” – pisał w 1940 r. kronikarz Dywizjonu 303 Mirosław Ferić. Tak samo rozumiał żołnierski honor Romuald Traugutt, który służył w armii carskiej, ale gdy tylko zaświtała szansa walki o Polskę, stanął na czele powstania styczniowego. Jaruzelski postąpił dokładnie odwrotnie: gdy zaświtała szansa walki o Polskę, wypowiedział wojnę własnemu narodowi. No to jak to się dzieje, że niektórzy Polacy nazywają go żołnierzem, generałem i do tego jeszcze patriotą?

Zaczęto go tak nazywać po roku 1989, wcześniej nikomu to nie przychodziło do głowy. Komunistom nie – bo patriotyzm zamienili na internacjonalizm, niekomuniści o patriotyzmie mówić się bali. Dopiero wtedy, gdy ludzie uważający się za

przywódców „Solidarności” na powrót oddali władzę komunistom, w dodatku czyniąc Jaruzelskiego „pierwszym prezydentem wolnej Polski”, nastąpiło załamanie. Moje też, ja również zaczęłam myśleć, że skoro nawet autor książki „Z dziejów honoru w Polsce”, Adam Michnik, uważał to za najlepsze wyjście, widocznie nie rozumiem polityki, nie dorosłam.

„Obserwowałam uważnie to, co się działo w Polsce po 13 grudnia – pisał Gustaw Herling-Grudziński – i twierdzę, że wprowadzenie stanu wojennego ma do dziś potworne konsekwencje. Jest źródłem strasznego schorzenia życia społecznego, życia zrzeszonego w Polsce przed 13 grudnia, a następnie, w konsekwencji skutków stanu wojennego, życia systematycznie psutego, rozkładanego, nawet gnijącego. Wiem doskonale, że istnieją dziś w Polsce obrońcy tego »mniejszego zła« i są wśród nich nawet ludzie wywodzący się z »Solidarności«. Pod tym względem stan wojenny generała Jaruzelskiego zakończył się na pewno sukcesem. Mówiąc zwięźle: Jaruzelski nauczył ludzi akceptacji »zła«, nazwanego chytrze mniejszym i rozłożył życie ludzi zrzeszonych wokół idei, która odnowiła »Solidarność« – po prostu zniszczył ją. Zniszczył Cud »Solidarności. I to jest ta wiekopomna zasługa generała Jaruzelskiego. Dzisiaj oczywiście są też i tacy, którzy bronią decyzji wprowadzenia stanu wojennego. Rzecz w tym, że jedynie powtarzają słowa Jaruzelskiego”.

Nazywanie Jaruzelskiego patriotą to właśnie skutek tego schorzenia. Schorzenia tak głębokiego, że niekwestionowany przywódca „Solidarności”, Lech Wałęsa prosi Jaruzelskiego o wydanie mu świadectwa moralności.

Zdanie „niekwestionowany przywódca »Solidarności«” jest w oczywisty sposób fałszywe, mimo to posługują się nim nawet uczciwi ludzie. A jako argument podają, że Wałęsa znany jest na całym świecie, więc w interesie Polski leży podtrzymywanie tego mitu. – To prawda, że Wałęsa to krętacz, prostak i współpracownik SB, ale w interesie Polski leży wmawianie światu, że to on jest symbolem „Solidarności” – mówią i biegną

do kościoła modlić się, by świat w to kłamstwo uwierzył. Tylko co to znaczy „świat”? Rządy państw wiedzą, co ogół Polaków myśli o Wałęsie, wystarczy spojrzeć na sondaże, a mają przecież i własny wywiad i artykuły w swoich gazetach. Kogo więc chcemy oszukać? I dlaczego narzędziem polityki międzynarodowej Polski katolickiej ma być kłamstwo?

W „Alfabecie Kisiela” na pytanie o Andrzeja Gwiazdę, Stefan Kisielewski odpowiedział, że osobiście go nie zna, wie tylko, że jest to człowiek, którego boi się Wałęsa. Boją się Gwiazdy także działacze „Solidarności” przygotowujący obchody 25 rocznicy, choć nie ma on dywizji. Jest sumieniem „Solidarności”, mówi nagą prawdę, więc lepiej go o zdanie nie pytać. I największe media rozmów z nim unikają. Bo świat ma wierzyć, że pierwsza i druga „Solidarność” to ten sam związek, choć druga powołana została po to, by zniszczyć pierwszą (wystarczy poczytać statuty obu tych związków, by to wyraźnie zobaczyć).

Ale już zdrowiejemy. Duchem „Solidarności” powiało w Warszawie podczas rocznicy Powstania Warszawskiego, a cała Polska namacalnie go poczuła podczas pogrzebu Jana Pawła II. Duch, który zstąpił odnowić oblicze tej ziemi, działa. Dowody rekonwalescencji zobaczymy wtedy, gdy gazety nie będą się bały rozmów z Gwiazdą, a politycy rzeczowej z nim polemiki.

Gdy zaś chodzi o Jaruzelskiego, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że naznaczony został czymś w rodzaju piętna Kaina. No bo popatrzmy: daty stanu wojennego i Grudnia '70 to kalki: 12/13 grudnia 1970 – 12/13 grudnia 1981. Ciało doradcze dyktatora nosiło skrót WRON – wrona to gapa, gapa była na hitlerowskich czapkach, dlatego na murach natychmiast pojawiły się napisy „wrona skona”. W dodatku dyktator nosił czarne okulary, lud nazwał go więc „Ślepowronem”, ani wiedząc, że to jego herb rodowy.

Autorka: Wiesława Kwiatkowska

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

OD AUTORKI

3 lutego 1982 r. zostałam skazana na pięć lat więzienia i trzy lata pozbawienia praw publicznych. Sąd uznał, że jestem tak bardzo niebezpieczna, że należy mnie na długo odizolować od otoczenia.

W uzasadnieniu wyjaśnił, że zrobił tak dlatego, bo „w okresie od 13.12.1981 do 19.12.1981 zbierała materiały faktograficzne dot. wypadków na Wybrzeżu Gdańskim w 1970 r.”. W więzieniu dotarła do mnie wiadomość, że wznowiła działalność komisja KC PZPR powołana w 1981 r. przez Jaruzelskiego do zbadania kryzysów PRL. Komisją kierował Hieronim Kubiak, zwana więc była „komisją Kubiaka”. W Gdańsku zaś zajęli się tą sprawą towarzysze partyjni powołani przez dowódcę Marynarki Wojennej adm. Ludwika Janczyszyna, członka WRON. Po dziesięciu latach dowiedziałam się, że to on kazał komisarzowi wojennemu sędziemu Andrzejowi Grzybowskiemu „przywalić” naszej grupie wysokie wyroki (Ewa Kubasiewicz – 10 lat, Jurek Kowalczyk – 9 lat, ja – 5 lat).

O AUTORCE

Wiesława Kwiatkowska (1936-2006) – dziennikarka, autorka książek o Grudniu '70 i artykułów o tematyce społecznej, wyróżniona „Złotym Piórem” przez „Solidarność” Stocznia Gdynia i Medalem im. Eugeniusza Kwiatkowskiego przez Radę Miasta Gdyni. Członkini Komisji Krajowej pierwszej „Solidarności” i sekcji historycznej Krajowej Komisji Porozumiewawczej. Po wprowadzeniu stanu wojennego aresztowana i skazana na 5 lat więzienia. Autorka prac „Grudzień 1970 w Gdyni”, „Gdyńska apokalipsa”, wywiadu rzeki z Andrzejem Gwiazdą pt. „Gwiazda miałeś rację”, współautorka „Gdyńskie cmentarze. O twórcach miasta, portu i floty”, organizatorka czterech konferencji „Korzenie Gdyni”.